

Przyjaciel prezydentów i specnazów

Z JACKIEM PAŁKIEWICZEM, podróżnikiem,
rozmawia Sławomir Popowski

Byłeś pierwszym w Europie człowiekiem, który zorganizował i prowadził „szkoly przetrwania”. Dlaczego wycofałeś się z tego biznesu?

— To była działalność, która przynosiła mi wiele frajdy. Zwłaszcza że mogłem pracować, nie oddalając się zbyt od domu, a dochody pozwalały na bardziej samodzielne organizowanie wypraw po świecie. Później jednak znów zaatakowałem, a jednocześnie zacząłem realizować inne projekty...

I zamieniłeś szkołę przetrwania na poziomie podstawowym na uczelnię wyższą dla profesjonalistów ze specnazem? Czego ich uczysz? Zjeżdżać na linie już potrafią, więc może jeść węże?

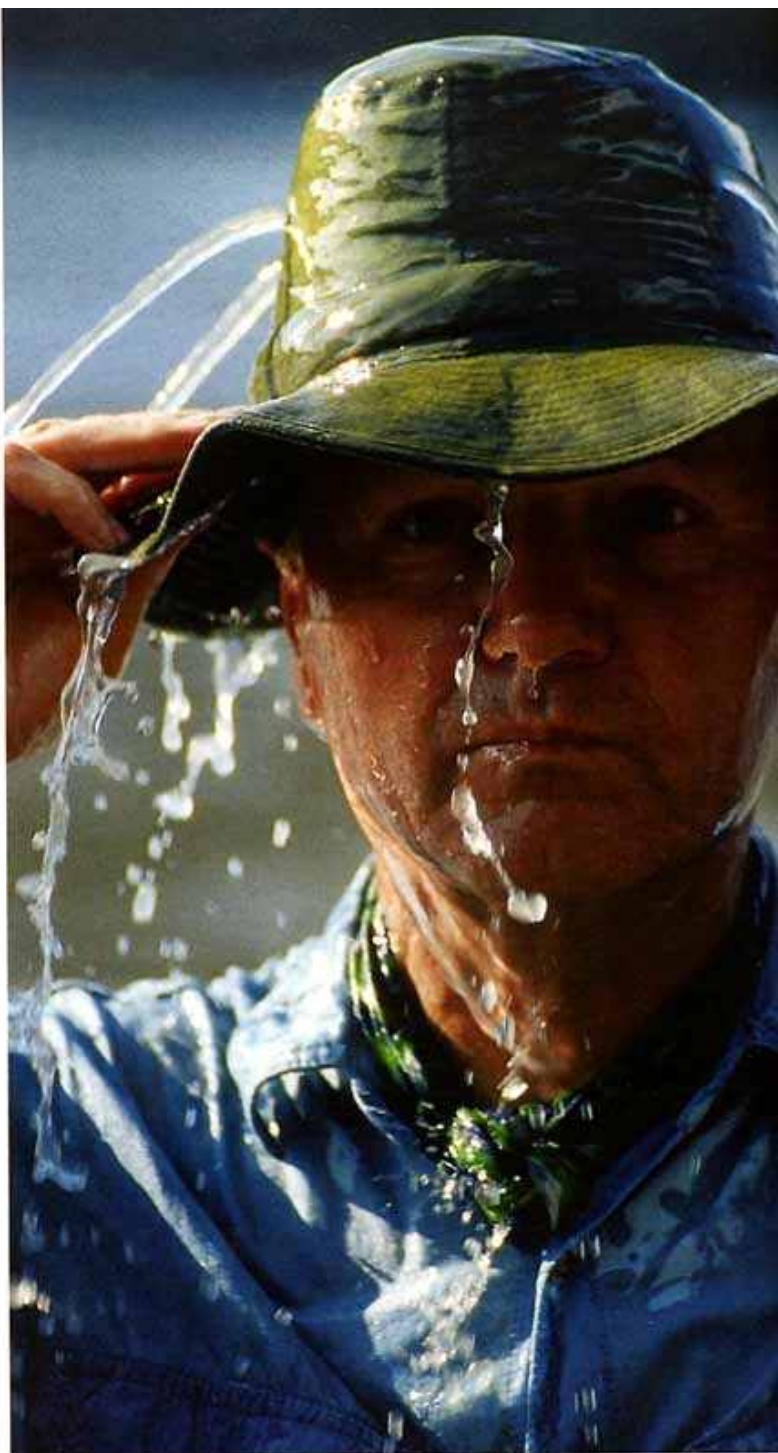
— Niepotrzebnie się śmiejesz i prowokujesz. Tymczasem chodzi o rzeczy poważne: o przygotowanie specjalistów do działań poza krajem, daleko za granicą, w zupełnie odmiennych warunkach geograficznych. W dżungli, na pustyni, w śniegach Syberii, jeśli wolisz. Moim zadaniem jest zapoznać ich z niegościnnym środowiskiem i nauczyć nie tylko zasad survivalowych, ale i działać operatywnie w skrajnie trudnych warunkach. Istotne są także: międzynarodowa współpraca, wzajemne kontakty i wymiana doświadczeń jednostek specjalnych.

Ale jak to wygląda w praktyce?

— Szkolenie zaczyna się od ABC sztuki przetrwania: zdobycia wody, budowy schronienia, orientacji, ochrony przed słońcem, insektami czy też przed niebezpiecznymi zwierzętami, a kończy się na zadaniach specjalnych, w których każdy musi się sprawdzić – zarówno sam, jak i w grupie. Często trzeba sięgać głęboko do psychiki, która w ciężkich chwilach musi wyzwolić tkwiący w człowieku arsenal sił. Z zewnątrz może to przypominać harcerskie podchody, ale uwierz mi, że chodzi o rzeczy poważne. Szkoleni dzieleni są na grupy i bez żadnej aklimatyzacji dostają różne specjalne zadania do wykonania, a po drodze spotykają się z dodatkowymi utrudnieniami, z którymi samodzielnie muszą sobie poradzić. Człowiekowi, który nigdy nie był na pustyni lub w dżungli – nawet jeśli jest on świetnie wyszkolonym komandosem – może to sprawiać kłopoty, które w przyszłości, jeśli będzie taka potrzeba, mogą zadecydować o powodzeniu całej operacji.

Kto uczestniczy w tych zajęciach?

— Są to elitarne jednostki antyterrorystyczne. Program realizowany jest od pięciu lat. Początkowo uczestniczyły w nim tylko pododdziały polskie (m.in. „Grom”) i rosyjskie. Później jednak Polska się z tego wycofała. Teraz w zajęciach uczestniczą Rosjanie i przedstawiciele niektórych państw NATO (m.in. Włoch, Francji i Niemiec), a także Izraela i Austrii. Ostatnio rozmawiałem jednak z ministrem spraw wewnętrznych Krzysz-



tofem Janikiem i znosi się na to, że Polacy znów zostaną objęci tym programem. Z reguły każdego roku odbywają się dwa tego rodzaju szkolenia. W ubiegłym roku byliśmy nad Amazonką w bazie piechoty morskiej, a także w Namibii. W tym roku będzie podobnie, ale na razie nie jestem jeszcze uprawniony do podania, gdzie odbędą się szkolenia.

Niektórzy zarzucają ci, że coraz częściej prezentujesz policyjny punkt widzenia na rzeczywistość, domagasz się zwiększenia uprawnień dla policji itp.

— A co w tym złego, jeśli namawiam do współpracy z policją? Przecież chodzi o bezpieczeństwo obywateli. Żadna policja na świecie nie jest w stanie go zapewnić w 100 procentach, a bez współpracy ze społeczeństwem będzie to jeszcze trudniejsze. Nie wstydź się też i będę konsekwentnie powtarzał, że konieczne jest szerokie społeczne przyzwolenie na rozszerzenie uprawnień policji, a także na zaostrzenie środków bezpieczeństwa i zwiększone kontrole. Nie oszukujmy się. Tu nie chodzi o politykę, ale o sprawy elementarne: właśnie o bezpieczeństwo. Osobiście wolę zaakceptować rozbudowanie aparatu policyjnego, aby bezpieczniej wracać do domu. Nawet, jeśli po drodze miałbym być kilkakrotnie zatrzymywany przez policyjny patrol...

Mówią, że bardzo niechętnie obnażasz swoją duszę. Czy jest to część wizerunku „macho”, „twardziela”, który jest tworzony wokół ciebie?



JACEK PAŁKIEWICZ/FORBIS

Gdzieś
w dżungli
były ścieżki:
łatwa
i trudna.
Wybrałem
tę drugą...
Bo twardziel
nie pęka
przy
pierwszym
potknięciu

— Moja niechęć do obnażania nie jest żadną pozą. Taki jestem. To mój charakter. I nie ma to nic wspólnego ze zgrzywaniem się na „macho” lub też tworzeniem jakiegś tam wizytówki.

Co to w takim razie znaczy być „macho”, „twardzielem”? Tak właśnie jesteś przedstawiany – jako facet, który nie tylko znosi wszystkie niewygody, ale jeszcze sam je prowokuje. Pół roku szukasz przygód w świecie – pół roku spędzasz z żoną. I jeszcze z tego żyjesz...

— Ja to definiuję znacznie prościej. Facet, którego ty nazywasz „twardzielem”, ma być po prostu mężczyzną, który posiada cechy pozwalające mu łatwiej radzić sobie z trudnościami, a przez to żyć pewniej i lepiej. Facet „z jajami” – używając potocznego slangu – nie załamie się przy pierwszym czy drugim potknięciu. To był dla mnie ideał i te cechy próbowałem w sobie wyrobić. A potem już zostało. Stało się częścią stylu życia. W książce, która teraz ukazała się we Włoszech, opisywałem taką sytuację: gdzieś tam w lesie tropikalnym, w dżungli były dwie ścieżki: łatwiejsza i trudniejsza. Wybrałem tę drugą...

Czy z tego wynika, że szukasz trudniejszych sytuacji, aby sprawdzić się w roli mężczyzny, faceta „z jajami” – jak sam mówisz?

— To nie do końca tak, ale rzeczywiście jest w tym coś z narkotyku. Jeśli kiedyś coś przeżyłeś, najadłeś się strachu, to potem chciałbyś tę poprzeczkę podnieść nieco wyżej. To rodzaj gonitwy za tym, co pozwoli ci utrzymać poziom satysfakcji. Słowem: potrzebujesz stałej dawki adrenaliny.

Przed rozmową z tobą czytałem różne materiały na twój temat. W jednym napisano, że uważasz się za „mężczyznę spełnionego”. Co to znaczy? Jak sam siebie oceniasz? Rozmawiamy ze sobą, znam cię dość dobrze i raczej nie sprawiaś wrażenia „supermana”...

— A ty też uważasz, że „twardziel” i „superman” musi mieć koniecznie 190 cm wzrostu i górę mięśni, jak Schwarzenegger czy Stallone? Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia. To, czy ktoś jest twardym, czy nie, zależy przede wszystkim od charakteru, uporu, umiejętności radzenia sobie z przeciwnościami, w tym także z własnym strachem. To trochę tak, jak z samochodem, albo masz ten „piąty bieg”, albo nie. Ktoś kiedyś nazwał mnie „mistrzem świata optymizmu” i niech tak zostanie. Świetnie się czuję na pustyni, w hamaku w dżungli i w śpiworze na Syberii, ale równie dobrze czuję się w wielogwiazdkowym hotelu, a co najważniejsze: przejście z jednego do drugiego świata nie sprawia mi żadnych problemów. A czy jestem „mężczyzną spełnionym”? – uważam się za człowieka, który w swoim życiu zawsze robił i robi to, na co ma ochotę. Jeśli więc wolność jest spełnieniem, to jestem człowiekiem spełnionym.

Udało ci się coś bardzo rzadkiego: kochasz przygodę i żyjesz z przygody. Pół roku eksplorujesz świat, a potem przez kolejne sześć miesięcy wystawiasz to wszystko na sprzedaż.

— Owszem, ale nie ma w tym niczego dwuznacznego. Taka jest moja profesja, którą sobie wymyśliłem i którą wykonuję. Skończyłem jedną wyprawę i już przygotowuję następną, a w międzyczasie przygotowuję do druku teksty reportaży, wybieram zdjęcia, szykuję filmy. Słowem, zarabiam na życie i na następną eksplorację. W pewnym sensie prowadzę własną firmę, która nazywa się „Jacek Pałkiewicz”, a to znaczy, że muszę działać zgodnie ze wszystkimi regułami sztuki biznesu, dbając i o marketing, i o to, aby „towar”, który dostarczam, był dobrej jakości. To wszystko. I jak dotąd – udaje mi się. Krezusem na pewno nie jestem, ale za biednego też się nie uważam.

Jesteś w stanie sam opłacić swoje wyprawy?

— Oczywiście, że nie. Eksploracja jest przedsięwzięciem bardzo kosztownym i nie znam ani jednego eksploratora, który mógłby obejść się bez tak zwanego sponsora. Ja mam to szczęście, że od 18 lat moje wyprawy wspiera finansowo jedna i ta sama włoska firma „Diesel”, szyjąca odzież dżinsową dla młodzieży. W przypadku większych ekspedycji jej poparcie już nie wystarcza i wtedy przychodzi szukać dodatkowych sponsorów. To swego rodzaju rynek, ale jeśli wyrobisz sobie na nim dobrą markę, to twoje szanse rosną niepomiaralnie.

Nie przypadkiem o to pytałem. Spotkałem się też z krytycznymi opiniami pod twoim adresem, w których zarzucano ci, że uprawiasz autoreklamę...

— Zdziwił się. Nie traktuję tego jako zarzut i nie widzę w tym niczego złego. Ludzie, którzy potrafią się sprzedać i – co najważniejsze – mają co sprzedać, nie powinni być fałszywie skromni.

„Komsomolskaja Prawda” napisała o tobie, że jesteś „jedynym facetem, który może o każdej porze dnia i nocy zadzwonić do trzech ostatnich prezydentów Polski i dwóch Rosji”. Ile jest w tym prawdy, a ile reklamy?

— A chcesz sprawdzić? Którego z nich wybierasz?

Powiedzmy: Gorbaczowa...

— Nie ma go w Rosji...

To zaczniemy od polskich, od Lecha Wałęsy...

— ... Halo, Danusia. Mówi Jacek Pałkiewicz. Czy zastałem męża... (Dalej – potwierdzam: rozmowa odbywała się w Moskwie, ok godz. 22 czasu miejscowego. Jacek połączył mnie najpierw z Lechem Wałęsą, a potem z gen. Wojciechem Jaruzelskim. Z każdym z nich rozmawiałem po kilka minut. Później próbowałem jeszcze dzwonić do Aleksandra Kwaśniewskiego, ale nie było go w Pałacu).

W porządku. Przekonałeś mnie. Wróciłeś z wyprawy, podczas której szukałeś mitycznego Eldorado – miasta złota, którego dotąd nikomu nie udało się odnaleźć...

— Nam też to jeszcze się nie udało. Ale nie tracę nadziei. Po dwóch latach studiów, badania wszelkich dostępnych materiałów archiwalnych i współczesnych (m.in. zdjęć z kosmosu), a także po listopadowej wyprawie rekonesansowej – myślę, że jesteśmy na dobrej drodze. I kiedy tylko skończy się pora deszczowa – mniej więcej w czerwcu – wznowimy poszukiwania. Wyjaśnijmy jeszcze, czym było Eldorado. Otóż, kiedy pięć wieków temu Inkowie wycofywali się przed inwazją konkwistadorów, wówczas zabrali wszystkie swoje złoto i ukryli je w jednym miejscu, w swojej ostatniej cytadeli. Podobno jest go bardzo dużo, więcej niż Hiszpanom udało się odebrać Inkom. Według legendy ostatni Inka – Manco Capas – miał zaproponować najjeźdźcom, że odda im wszystkie złoto, jeśli tylko opuszczą jego kraj. Wziął do ręki garść ziaren kukurydzy i rzucił na ziemię tylko jedno, mówiąc, że tylko tyle złota dotąd zrabowali. Oczywiście, jeśli znajdziemy taki skarb, to wydarzenie to będzie miało wielkie znaczenie, ale jeszcze bardziej zależy nam na odnalezieniu mitycznego, zaginionego w dżungli miasta. Jednym z takich miejsc, w którym szukali oni schronienia, jest odkryte już dość dawno słynne Machu Picchu, więc gdyby nam udało się dotrzeć do ostatniej twierdzy Inków, byłoby to odkrycie porównywalne...

Zaczynałeś swoją karierę eksploratora od samotnego rejsu szalupą ratunkową przez Atlantyk. Potem były kolejne wyprawy. Którą z nich uważasz za najtrudniejszą?

— Na pewno pierwszy rejs przez Atlantyk, ale także przejście przez całe Borneo – 2500 km w bardzo ciężkich warunkach. Niezwykle trudnym sprawdzianem było też przejście w warunkach syberyjskiej zimy z Jakucka do Ojmiakonu, tj. bieguna zimna na naszej półkuli. Na saniach ciągniętych przez renifery pokonałszy ponad 1000 km, przez miesiąc spaliśmy w namiotach, a wszystko przy temperaturze, która wahała się od minus 45 stopni do minus 55.

A źródła Amazonki...

— To była ciekawa i ważna wyprawa, ale bez ekstremalnych przeżyć.

Potem było wiele polemik i narwet doszło do procesu sądowego...

— To była próba zdyskredytowania mojej osoby za pomocą nieuczciwych manipulacji. Chcę podkreślić jedno: naukowe wyniki naszej wyprawy zostały oficjalnie potwierdzone przez takie autorytatywne instytucje, jak Towarzystwo Geograficzne w Limie. Co się tyczy natomiast procesu sądowego, to – powtórzę po raz kolejny – był to proces o zniesławienie. O swoich racjach w tej kwestii jestem przekonany i zdania nie zmieniłem. ✪